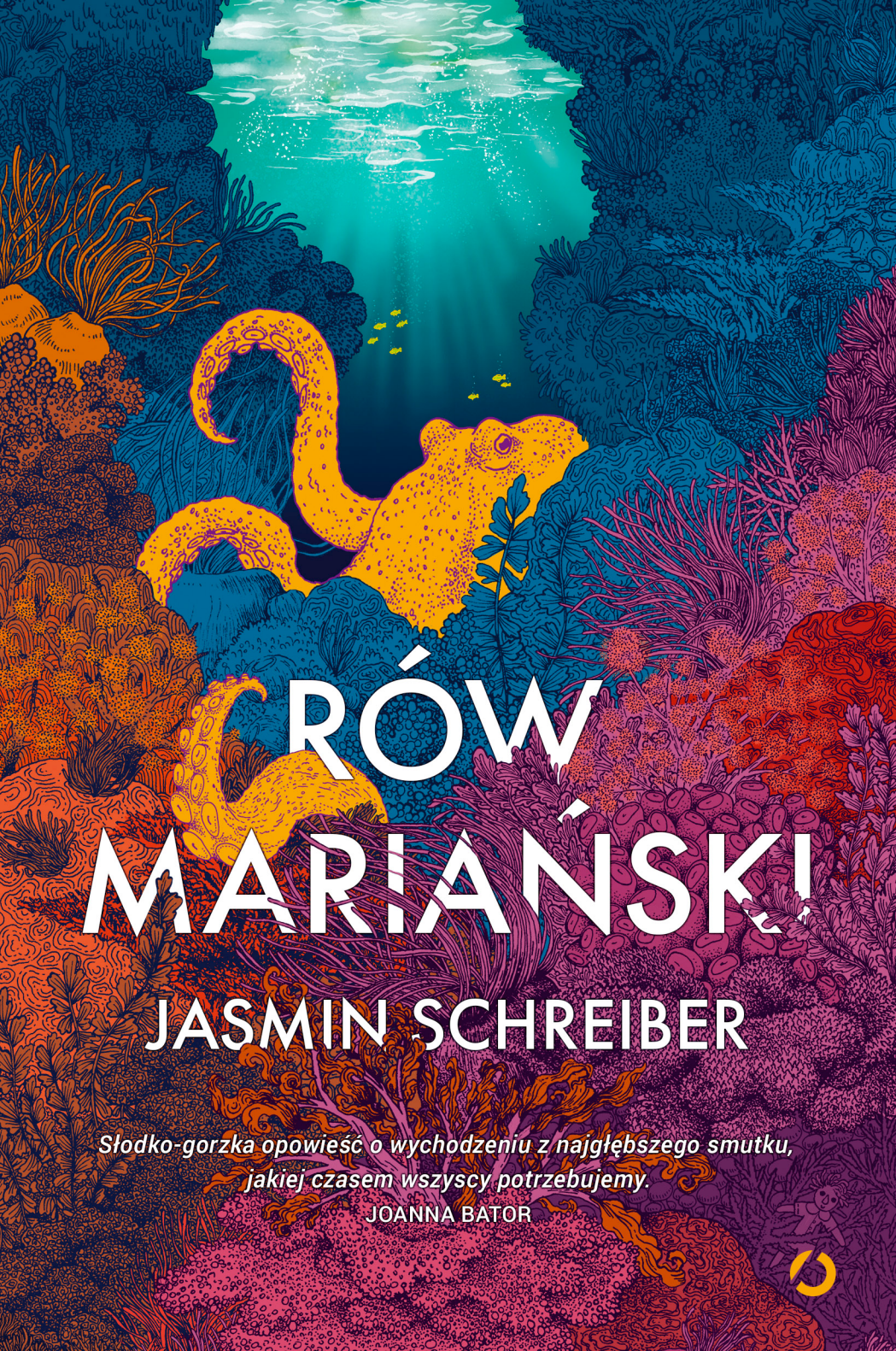




RÓW MARIĄŃSKI!

JASMIN SCHREIBER

*Słodko-gorzka opowieść o wychodzeniu z najgłębszego smutku,
jakiej czasem wszyscy potrzebujemy.*

JOANNA BATOR



Tytuł oryginału: *Marianengraben*

© 2020 by Bastei Lübbe AG, Köln

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Copyright © for the translation by Agnieszka Walczy

Wydawca prowadzący: Ewelina Tondys

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Arletta Kacprzak

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Łamanie: Robert Oleś

Projekt okładki: typografia Monika Drobnik-Słocińska,
ilustracja na okładce i wyklejkach Agnieszka Żurawska-Gwóźdź

ISBN 978-83-8135-226-0



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*potrafię latać.
widzę w ciemności.
jestem nieśmiertelna.*

Ianina Ilitcheva, tłum. A. Walczy

– Jak głęboko trzeba zanurkować, żeby znaleźć świecącą i jeszcze nieodkrytą rybę Tima? – spytałeś mnie na krótko przed śmiercią.

– Nie wiem, ale w głębinach morskich jest jeszcze wiele nieodkrytych rzeczy. Z pewnością pływa tam cała masa potencjalnych ryb Tima.

– A nie mogłabyś nurkować aż tak głęboko, póki nie odkryłabyś nowej ryby?

– Uff, do tego potrzebuję zespołu i robota głębinowego, ale teoretycznie mogłabym to zrobić, tak.

– A nazwiesz ją wtedy rybą Tima?

– To także mogę zrobić.

– A jeśli odkryjesz nowego kraba?

– Wtedy nazwę go krabem Tima, to chyba jasne.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

11000

Twoim najnajjukochańszym zwierzęciem był beczkok – zawsze musiałeś użyć co najmniej trzech „naj”, jeśli coś było dla ciebie szczególnie ważne. Czaszka tej ryby jest kompletnie przezroczysta, dlatego siedząc w batyskafie, można skierować na nią reflektory i obserwować, jak pracuje mózg beczkooka. Ryby głębinowe to w ogóle był twój konik. Wiele z tych istot ma tak zwane fotofory, narządy świetlne emitujące światło dzięki bioluminescencji bakterii. Lśniące czułki, migocące pletwy, lubieżnie wyrzucona antenka zakończona świetlnym wabikiem. Ukryte w ciemności zęby. Kiedy człowiek wyobraża sobie morską głębię, oczami wyobraźni widzi wyłącznie ciemność, jednak wcale tak nie jest. Miliony żywych organizmów pływają w wodzie niczym niewielkie lampki – albo jako pojedyncze gwiazdy, albo w większych grupach tworzących świetliste galaktyki. Ten równoległy świat był dla ciebie megaodlotowy.

Czasami siedzę sobie i myślę o tym wszystkim i generalnie o tobie, a mówiąc „czasami” mam właściwie na myśli

„zawsze”, przez „zawsze” zaś chcę właściwie powiedzieć „bez przerwy”. Przychodzą mi na myśl twoje mięciutkie włosy niczym puch pisklęcia, przypominam sobie, jak złowiłeś swoją pierwszą rybę i potem strasznie płakałeś, kiedy ryba zdechła (i z tego powodu to była również twoja ostatnia ryba). Przypominam sobie, jak siedzieliśmy razem schyleni nad podręcznikami biologii i nadawaliśmy zwierzętom nowe nazwy – w twoich oczach lepsze. Rekina nazwałeś wielozębem (z powodu wielu rzędów zębów), płaszczka została pływającym spodkiem, upierałeś się także, żeby używać nazwy „wielbłąd jednogarbny” na dromadera, a baktiana konsekwentnie nazywać wielbłądem dwugarbnym, bo wtedy byłby nareszcie koniec tego pomieszania z poplątaniem. Kiedy myślę o tym wszystkim, serce staje mi na moment, krew odpływa do nóg, a w uszach mi szumi, jakby zlewały się w nich wszystkie morza tego świata. W pewnym momencie nadchodzi odpływ, szum ustaje, węzeł zatokowo-przedsionkowy budzi się z letargu i pozwala mojemu sercu kurczyć się bardziej regularnie. Często kładę się potem na podłodze, tak jak robiliśmy dawniej, i jeszcze przez chwilę myślę o tobie, wbijam nóż głębiej w moje wnętrzności. Jak mógłbyś teraz wyglądać. Czy beczkooki nadal byłyby twoimi ulubionymi zwierzętami i co byś powiedział na to, że znów odkryto trzy nieznane wcześniej ryby głębinowe i żadna z nich nie została nazwana rybą Tima. Czy byłbyś na mnie wściekły, że tego nie dopilnowałam. Czy kochałbyś się w jakiejś dziewczynie albo chłopaku. Czy twoje włosy nadal przypominałyby miękki puch pisklęcia i jak duża mogłaby być teraz twoja dłoń, gdyby – tak jak dawniej często się zdarzało – spoczywała w mojej, w dłoni starszej siostry. Tego się już nigdy nie dowiem. Przemyślenia, właściwie bezsensowne, a jednak nieuniknione. Myśli

kontroluje się równie trudno jak miłość, która je wywołuje. A teraz kocham cię jedynie uwięzionego w jakimś świecie pomiędzy czasem przeszłym a trybem warunkowym i w rzeczywistości, która przed twoją śmiercią była życiem, a po niej – zaledwie stanem.

Łączyła nas bliskość, jakiej nie odczuwaliśmy wobec nikogo innego. To dziwne, bo byłam od ciebie o wiele starsza i od zawsze stanowiłam twoje przeciwieństwo. Nigdy nie cechowałam się dynamizmem i ruchliwością i już jako dziecko nie chciałam się nigdzie wybierać, mam na myśli cielesnie. Jeśli już, to podróżowałam tylko w mojej głowie, traktowałam fantazję i literaturę jako wehikuł, którym uciekałam w świat, tam mogłam być dzielna, silna, uosabiać wszystko to, czym nie byłam w rzeczywistości. Książka może doprawdy być ostatnią deską ratunku – kiedy ocean życia jest zbyt burzliwy, człowiek chwyta się historii i pozwala im doprowadzić się do bezpiecznej przystani.

Najchętniej czytałam książki z serii o Harrym Potterze, o tym, jak młody czarodziej musiał mieszkać w komórce pod schodami u swoich okropnych krewnych, zanim został przyjęty do szkoły czarodziejów, dzięki czemu udało mu się wyrwać ze szponów tej potwornej rodziny. I chociaż ja w dzieciństwie miałam własny pokój, to jednak przez większość czasu i tak żyłam w komórce pod schodami – tyle że we własnym wnętrzu.

Jak już wspomniałam, ty byłeś zupełnie inny. Ja, mając dziesięć lat, byłam niewysportowana, wołałam siedzieć w domu i czytać i raczej trzymałam się z dala od ludzi. Ty w podobnym wieku biegałeś i szalałeś na dworze i byłeś zwinny jak młody szczeniak. Zawsze gdzieś leciałeś, miałeś jakieś plany, nie mogłeś usiedzieć w domu i nigdy nie chciałeś się zatrzymać ani odpocząć. Byłeś czarodziejem i łowcą przygód, treserem dzikich zwierząt i nurkiem,

byłeś orłem bielikiem i chciałeś latać i pływać, i biec, i nurkować, i robić to wszystko, aż nadszedł kres. Tim, ryba. Tim, który tak bardzo kochał morze i przed dwoma laty w nim utonął.

Czy wiedziałeś, że Rów Mariański jest najgłębszym miejscem wszechoceanu? Dobra, głupie pytanie, oczywiście, że wiedziałeś. Na jedenaście tysięcy metrów w głąb wwierca się ta dziura w skorupę Ziemi, a gdyby wrzucić w nią Mount Everest, utonąłby w niej bez śladu. Kiedy ci o tym powiedziałam, nie mogłeś sobie tego wyobrazić, ale uważałeś, że to „odlotowe”, tak jak z początku wszystkie niesamowite rzeczy określałeś słowami „odlotowy” albo „megaodlotowy”. Również dla mnie te jedenaście kilometrów było właściwie zbyt dużą abstrakcją. Dopiero gdy sama tam dotarłam, to znaczy na sam dół, w ciemność, gdzie nie ma już światła ani kolorów i niemal zupełnie brakuje tlenu, te jedenaście kilometrów i wszystkie te cyfry i rzędy wielkości stały się dla mnie bardzo konkretne – jedenaście tysięcy metrów pod wodą jest równoznaczne z metrem dziewięćdziesiąt pod ziemią, głębokością twojego grobu.

Pamiętasz, jak umarł Ronny, a ty przez dwa dni chodziłeś smutny i nie smakowały ci nawet ulubione lody? Musiałam wtedy iść z tobą do pediatry, bo sądziłeś, że to dziwne uczucie w brzuchu z pewnością zwiastuje jakąś bardzo ciężką chorobę, a przecież to była tylko żaloba po psie. Po dwóch dniach znowu mogłeś jeść, po tygodniu ci się poprawiło, a miesiąc od pogrzebu Ronny'ego myślałeś już o nim tylko od czasu do czasu.

Ze mną było podobnie, kiedy nagle odszedłeś, tylko mocniej. Nie mogłam nic jeść, nie mogłam iść na uczelnię. To samo uczucie, które ty odczuwałeś w brzuchu, miałam w ramionach i w nogach, i płatkach uszu, i w koniuszku nosa, a nawet w ślepej kiszce. Tak, wiem, co teraz sobie myślisz, wyrostek robaczkowy mogłam dać sobie usunąć – tak jak ty, kiedy miałaś siedem lat. Ale potrzebny mi jest koniuszek nosa i potrzebuję ramion, więc niewiele by pomogło usunięcie jelita ślepego. To uczucie było tak silne, że nie mogłam wstać, nie mogłam wziąć prysznica, nie mogłam nic. I w pewnym momencie to uczucie jakoś

tak dziwnie się przeinaczyło i sobie poszło, ale w jego miejsce nie pojawiło się żadne nowe. Zamiast tego pozostało jedno: pustka.

Pamiętasz jeszcze, jak czytałam ci *Niekończącą się historię* i doszłam do fragmentu o pochłaniającej wszystko nicości?

– No i jak ona wygląda, ta nicość? – spytałeś mnie wtedy.

– Cóż, nicość właśnie w ogóle nie wygląda. Bo inaczej byłaby czymś.

– To jak coś może nie istnieć?

– Hmm – mruknęłam tylko. To było naprawdę trudne pytanie. Ty zawsze zadawałeś bardzo trudne pytania, przypuszczalnie dlatego, że byłeś bardzo bystry, zapewne o wiele bystrzejszy niż ja w twoim wieku.

– Może coś takiego jak: tutaj koło mnie nie stoi żadne krzesło? – zastanawiałam się głośno. Bo koło mnie nie stało żadne krzesło.

– Hmm – mruknąłeś tylko.

Nie znaleźliśmy rozwiązania i to znakomicie opisuje sytuację, w jakiej znalazłam się po twojej śmierci: nie miałam rozwiązania. Rozprzestrzeniała się we mnie nicość, pozbawiona jakiegokolwiek emocji, jakiegokolwiek wyglądu, zapachu, brzmienia czy smaku. Byłam ludzkim kostiumem wypełnionym nicością. Istnieje na to powszechnie przyjęta nazwa, mianowicie depresja, oczywiście należy ją leczyć i dlatego udałam się do lekarki w nadziei, że będzie umiała czymś mnie wypełnić. Poszłam do psychiatry.

Tak więc pewnego dnia siedziałam w poczekalni na bardzo twardym drewnianym krześle obok stojaka pełnego parasoli, choć oprócz mnie w pomieszczeniu czekało tylko dwoje starszych ludzi i nawet nie padało. Przyszli

razem, na moje oko mieli osiemdziesiąt kilka lat lub nawet z dziewięćdziesiąt parę. Byli maleńcy i delikatni jak elfy, starsi nawet od babci i dziadka, to znaczy, uff... już nieźle starsi. Myślę, że byli tacy starzy jak babcia Wrona tuż przed śmiercią. Ty ją tak nazwałeś, bo przez długi czas sądziłeś, że to jest krakrababcia, a nie praprababcia, a wrona robi właśnie kra, kra.

Zaczęłam dokładniej obserwować wronią parę. Kobieta bez przerwy osuwała się na krzesło, a mężczyzna co chwilę lekko ją poprawiał. Wtedy sama z siebie odrobinę się prostowała i przez jakiś czas siedziała w takiej pozycji, w jakiej została posadzona, póki nie zaczęła znowu się zsuwać. Skórę na rękach miała tak delikatną, że z około trzech metrów mogłam dostrzec naczynia krwionośne – była kruchym ptakiem z przezroczystego papieru. Starszy pan położył jej na kolanach czasopismo i starał się zachowywać normalnie, ale do niej to nie docierało. Chwycił jej ramię, uniósł je, wsunął pod nie gazetę i z powrotem położył na niej jej rękę, dosłownie przymocował do niej te strony, było to smutne i dziwaczne zarazem. Kobieta milczała i patrzyła niewidzącym wzrokiem na swojego opiekuńczego partnera, na którego twarzy wyraźnie malowały się strach i rozpacz. Przemawiał do niej cichym głosem, szeptał słowa podnoszące na duchu, chciał ją zaktywizować, czymś zachwycić („Popatrz tylko, to jest Helene Fischer!”), ale ona nie reagowała. Wydawało mi się, że ta kobieta tak czy owak już niczego nie postrzega, że nie wie, gdzie jest ani co się z nią dzieje. Jej spojrzenie było cały czas puste, przebijało ten świat na wylot, omijało nas, skierowane wprost w galaktykę, do której nie mieliśmy dostępu. Czy ty też tam jesteś i dosiadasz asteroid? A może nurkujesz właśnie w nieskończenie wielkim oceanie razem

z pływającymi spodkami i wielozębami w poszukiwaniu ryby Tima. Któż to wszystko wie?

W pewnym momencie zostałam wyrwana z moich rozmyślań, wzywano mnie do gabinetu. Lekarka mnie zbadala i wyjaśniła mi, że moja żaloba ma już patologiczny charakter. Patologiczne jest coś, co wpędza w chorobę. Krótko mówiąc: byłam trochę niewłaściwie smutna, to znaczy niezdrowo smutna, w każdym razie tak to wówczas odebrałam, choć to pewnie spore uproszczenie. Ale ty przecież nie jesteś psychiatrą, tylko oceanologiem i łowcą przygód, dlatego niech tak zostanie. Dla mnie zabrzmiało to jak: zbyt smutna, i pomyślałam sobie: „He, jak to możliwe?”. Ja sama uważałam, że nie jestem wystarczająco smutna, bo moje serce wciąż jeszcze bije, choć właściwie myślałam, że bez ciebie umrę, całkiem serio. Zazwyczaj w mózgu sprawnie działają mechanizmy radzenia sobie z żalobą. Dlatego ty po pewnym czasie wróciłeś do równowagi po śmierci Ronny’ego. Ja jednak jakoś utknęłam i dlatego lekarka przepisała mi lekarstwa i wypełniła formularz wymagany przez kasę chorych, żebym mogła poszukać sobie miejsca na terapię.

Terapia była moim zdaniem średnia. Przez pierwsze godziny siedziałam naprzeciwko mojego terapeuty, który pytał mnie, jak tam z lekarstwami, a następnie milczał przez pięćdziesiąt minut – w tym czasie ja miałam coś czerpać z siebie samej. Ale we mnie nie było nic do czerpania, tkwiłam w Rowie Mariańskim z maleńką chochelką w ręce i miałam nią z siebie wydobyć całą tę wodę i cały ten ból, żebym lepiej się poczuła, miałam wydobyć wszystko z dna, rozpostrzeć i zaprezentować do obserwacji. Ale to nie funkcjonowało. Siedziałam na głębokości jedenastu tysięcy metrów i ciśnienie było tak wysokie, że gdy tylko

cokolwiek zaczerpnęłam, natychmiast z zewnątrz włączało się to we mnie z powrotem. Tyle tam było czarnej wody i strachu, i ciemności, i żadnego promyka światła, ani jednego. Najczęściej milczałam, od czasu do czasu bąkałam coś, zmieniałam temat, opowiadałam o moich niespektakularnych dniach w łóżku. Opisywałam terapie morskie głębiny („A wie pan, że na samym dnie Rowu Mariańskiego na centymetr kwadratowy powierzchni działa siła nacisku o wartości ponad jednej tony?” „Nie”. „A widzi pan?”), filozofowałam na temat związku drobnego pyłu z klimatem, a nawet opowiadałam o ulubionym gatunku makaronu, bo stopniowo wszystkie tematy mi się wyczerpały. Kasa chorych przyznała mi siedemdziesiąt pięć godzin – aż tak wielu rodzajów makaronu to ja nie znałam. Ale o tobie z początku nie powiedziałam ani słowa.

Z bólem rzecz ma się następująco: na samym początku ma tylko natężenie, wyzwalający go bodziec jest bez znaczenia. Ból wybucha i rośnie, póki nie osiągnie stu procent, a człowiek po prostu trwa i musi to jakoś przeżyć, nieważne, co było przyczyną. Bo zdechł pies. Bo chłopak cię rzucił. Bo tato przestał się odzywać. Bo umarł ci brat. Ma się rozumieć, od bodźca zależy, jak głęboko ból w ciebie wniknie, jak długo tam pozostanie i co takiego zniszczy. Niektóre rzeczy są gorsze od innych. Ale kiedy ktoś daje nam kopa w nerkę, w pierwszym momencie jest nam wszystko jedno, dlaczego to zrobił, chwilowo wszyscy leżymy skuleni na ziemi i próbujemy jakoś oddychać. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Jedyną rzeczą, którą wówczas z najwyższym trudem udawało mi się jakoś ogarnąć, było to, żeby się nie udusić.

Pewnego dnia terapeuta spytał mnie, czy w ogóle wybiorę się na twój grób. Miało to miejsce na siódmej czy tam ósmej z przyznanych mi niezliczonych sesji terapeutycznych

i poczułam, że facet powolutku zaciska wokół mnie pętlę i że nie mogę dłużej pleść andronów o makaronie z pesto (przede wszystkim dlatego, że i tak prawie nic nie jadłam).

– Nie, od pogrzebu nie odwiedziłam jego grobu – wyznałam. Po prostu tak było, nie dałam rady.

– A dlaczego nie? – spytał terapeuta.

Zamilkłam. Nie miałam pojęcia. Jakoś nie chciałam dopuścić do świadomości tego, że to poniekąd twój nowy adres. Że teraz leżysz w ziemi zamiast w swoim pokoju dzieciennym, który wcześniej był mój. Tim, ryba. Zostałeś uwięziony prawie dwa metry pod ziemią, a to przecież nie był twój żywioł – myśl o tym rozdzierała mnie na strzępy. Mama i tato chodzili tam regularnie, a ja twierdziłam, że też bardzo często cię odwiedzam, chociaż studiowałam ponad dwieście kilometrów stąd. Oczywiście to było kłamstwo, z tym odwiedzaniem.

– Nie czuję się tam zbyt dobrze – odpowiedziałam po chwili.

Terapeuta milczał, więc mówiłam dalej:

– Tam zupełnie nie czuje się Tima, poza tym są tam ci wszyscy inni ludzie, którzy krążą wokół i przypatrują się człowiekowi, gdy stoi przy grobie. To mi się nie podoba.

– Ale jak pani się z tym czuje? Z tym, że nie chodzi pani na grób?

– Nie wiem.

Znowu milczenie. Właściwie miałam ochotę kiedyś cię odwiedzić, ale gdy pomyślałam, że na cmentarz przyjdzie choćby jedna osoba oprócz mnie, był to już dla mnie nadmiar bliskości. Bliskość i dystans – dla mnie trudny temat. Wyobraziłam sobie, jak ta osoba stoi ze dwieście metrów ode mnie, zajęta sobą, a mnie się zdaje, że siedzę jej na kolanach, a przecież chciałam tylko być przy tobie.

– Może pani spróbować pójść o takiej porze, kiedy nikogo tam nie ma.

– Niby kiedy?

– No cóż, może wieczorem?

– Ale wtedy panuje tam naprawdę duży ruch, przychodzą wówczas ci, którzy w dzień pracują.

– No to wtedy, kiedy rzeczywiście nikogo tam nie ma.

– Chyba tylko nocą.

– Hmm – mruknął terapeuta.

– Chce pan, żebym włamała się nocą na cmentarz?

– Bzdura, pani kompletnie mnie nie zrozumiała – prychnął terapeuta, ale popatrzył na mnie w sposób, który mówił: „ależ tak, oczywiście, dokładnie to mam na myśli, moja droga, tylko tego nie mówię, bo wystarczy przecież, że pani wyląduje przed sądem za znieważenie zwłok, prochów ludzkich lub miejsca spoczynku zmarłego, ja niekoniecznie muszę być w to wplątany i odpowiadać za współudział”.

– Ten pomysł jest strasznie głupi – zapewniłam go.

„To najlepszy pomysł pod słońcem” – pomyślałam. Ty uznałbyś go za mega odlotowy, bez dwóch zdań.

Na początek zrobiłam to, co zrobiłby każdy normalny człowiek planujący włamanie na cmentarz: zabrałam się do guglowania. Po krótkiej chwili moja historia wyszukiwania pełna była fraz w rodzaju „cmentarz włamanie konsekwencje”, „cmentarz, włamywać się, co się dzieje, gdy cię złapią”, „cmentarz włamanie narzędzia” i tym podobnych. W końcu nasz cmentarz nie był na wsi ani nic w tym guście, mama i tato, tak samo jak ja, mieszkali w wielkim mieście, z licznymi cmentarzami, a ten twój zamykano o dziewiętnastej i kto później się na nim znajdował, popełniał co najmniej wykroczenie. Tak w każdym razie pisali w internecie.

Kolejnym problemem okazała się moja słaba kondycja fizyczna, dla ciebie oczywiście nic nowego. Trzeba było się wspiąć na mur wysokości metra osiemdziesięciu, a ja nie miałam jeszcze żadnego planu, jak to, do diabła, uskutecznić. Może za pomocą przenośnej składanej drabinki? Jednakowoż musiałabym wtedy podciągnąć moje wążące okrągłe osiemdziesiąt kilo i mierzące ledwie metr sześćdziesiąt trzy ciało. Zastanawiałam się, czy w tym celu nie zacząć trenować, to znaczy przez pół roku jako słabiak codziennie chodzić na siłkę i ćwiczyć podciąganie na drążku, ale prędko zrozumiałam, że to całkiem nierealistyczne przedsięwzięcie. W głębokiej depresji codziennie uprawiać sport, do tego zdrowo się odżywiać, chodzić na uczelnię i żyć zupełnie normalnie, i pyk, problem rozwiązany! Z pewnością nie. Tak się nie dało. Najpierw musiałam pojechać na cmentarz za dnia i przyjrzeć się wszystkiemu, to było jasne. Myśl o tym, że miałabym tam pójść w normalnych godzinach otwarcia, napawała mnie niepokojem, jednak zdecydowałam się udawać niewzruszenie, że nie leżysz tam zagrzebany w ziemi. Pojadę tam, obejrzę sobie mur i tyle. Nieważne, ilu ludzi się tam płacze, nieważne, kto tam leży w ziemi, chodzi o mur. Tylko o mur.

Postanowiłam jednak, że przedtem przynajmniej raz czy dwa pójść pobiegać. Chciałam się dowiedzieć, jaką mam kondycję (czy raczej: jak bardzo mi jej brak). Jak daleko i jak szybko mogłabym uciekać, gdyby ktoś zaskoczył mnie na cmentarzu. Albo coś. Tak, he, he, za dnia człowiek jest taki odważny i naukowiec, i w ogóle, ale nocą na cmentarzu zastanawia się, czy istnieją duchy i czy rzeczywiście jest absolutnie pewny, że zombie nie istnieją, i tym podobne. Dla ciebie zombie były zawsze megaodlotowe.

W każdym razie następną rzeczą, jaką zrobiłam, było przewrócenie do góry nogami połowy mieszkania – co nie jest specjalnie trudne, jeżeli żyje się w maleńkim dwupokojowym mieszkanku – żeby znaleźć mojego smartwatcha. Kiedyś nosiłam go codziennie: gdy chciałam schudnąć i uprawiałam sport, i robiłam te wszystkie zdrowe i bardzo dorosłe rzeczy. Zegarek przesyła wszelkie możliwe dane na mój smartfon, między innymi puls, który mierzy co minutę, i przedstawia je w formie grafu, kiedy noszę go na przegubie.

Na lodówce wisiał wtedy nieduży wydruk tego grafu, wydruk z dwudziestego trzeciego września 2016 roku, na którym widać było, jak moje serce przyspieszyło z siedemdziesięciu czterech do stu pięćdziesięciu sześciu uderzeń na minutę i jak później puls wspiał się jeszcze do stu siedemdziesięciu dwóch, po czym przez jakiś czas ustabilizował na tej wysokości i nie spadał przez kilka minut. To był ten moment, kiedy mama zadzwoniła do mnie z waszych wakacji na Majorce, kiedy odebrałam dopiero za drugim razem, a ona z początku nic nie mówiła. To było wtedy, kiedy ofuknęłam ją poirytowana: „Mamo, no co jest? Właśnie jestem na zakupach”, bo myślałam, że to znowu jeden z tych jej osławionych telefonów wykonanych niechcący przez kieszeń spodni, a potem ona powiedziała: „Tim nie żyje”.

Na mojej lodówce po dziś dzień wisi ten graf, na którym widać, jak pęka ludzkie serce.

Byłam gotowa. O godzinie pierwszej czterdzieści sześć pewnej ciepłej letniej nocy stałam przed murem cmentarnym – w miejscu, które wyszukałam sobie podczas odwiedzin tydzień wcześniej. Od strony ulicy osłaniał mnie krzak leszczyny, tak że w spokoju mogłam ustawić w dogodnej pozycji przyniesioną z domu składaną drabinkę. Rozejrzałam się jeszcze dookoła, uznałam, że droga jest wolna, i wspięłam się na pięć stopni, dzięki czemu bez trudu pokonałam mur. Gdy byłam już na górze, odwróciłam się w stronę drabinki i podciągnęłam ją na linie, zawczasu przywiązanej do uchwytu. Obiła się przy tym o mur i szurała przy wciąganiu, co w nocnej ciszy wydało mi się nieskończenie głośnie. Przerwałam na chwilę, nasłuchując jakichś odgłosów czy krzyków, ale panował absolutny spokój. Wciągnęłam więc drabinę na samą górę, opuściłam po drugiej stronie i rozluźniona mogłam bez problemu zejść na dół, nie robiąc sobie krzywdy. Złożyłam drabinkę i za pomocą liny przewiesiłam ją sobie przez ramię. Zrobione.

Rozejrzałam się naokoło i strach mnie obleciał. Cóż, nocą cmentarz jest dokładnie tak straszny, jak sobie go wyobrażamy, i idę o zakład, że tobie by się to naprawdę super podobało. Przezornie pamiętałam o tym, żeby mój plan wcielić w życie podczas jasnej księżycowej nocy, by widzieć możliwie najwięcej i nie musieć używać latarki. Teraz jednak zaczęłam tego żałować, bo jak na mój gust widziałam trochę zbyt wiele. Spojrzałam na drogę wysadzaną wysokimi czarnymi drzewami iglastymi, które rzucały na żwir alejki dziwaczne cienie. Dokładnie naprzeciw mnie znajdowała się studnia, strzeżona przez bezgłowego kamiennego anioła naturalnej wielkości. Co będzie następne? Wycie wilka? Pobrząkiwanie łańcuchów? Wszystko we mnie wołało „Paula, uciekaj!”, ale wzięłam się w garść i sprawdziłam na komórce, gdzie się znajduję. Zaznaczyłam sobie twój grób na mapie w smartfonie, żeby mogła sobie wyświetlić prowadzącą tam trasę. Sto siedemdziesiąt sześć metrów.

Ruszyłam, ręce mi się trzęsły i serce podchodziło mi do gardła. Każdy najmniejszy szelest wywoływał we mnie strach albo przerażenie, a kiedy tuż obok ptak zerwał się do lotu, mało się nie popłakałam. Myślenie racjonalne i logiczne to żadna sztuka za dnia. Jednak nocą na cmentarzu człowiek nagle znów ma siedem lat i przypomina sobie książki takie jak *Smętarz dla zwierzków* czy *To*, i raptem potwory stają się całkiem możliwą komplikacją.

Po kilku metrach wąska dróżka skręciła w prawo i doprowadziła mnie do zdecydowanie szerszej alei głównej, wysadzanej teraz dużymi drzewami liściastymi. Tutaj wszystko wyglądało jaśniej i bardziej przyjaźnie, a nagrobki i okaleczone anioły odsuwały się nieco dalej od

drogi. Skręt w prawo, skręt w lewo i zaraz będę na miejscu – zobaczyłam na mapie. Minęłam mauzoleum, które pamiętałam mgliście z twojego pogrzebu. Mama przysiadła tutaj na schodku, kiedy odeszliśmy od grobu i nogi odmówiły jej posłuszeństwa. „Już dobrze, już dobrze” – powtarzała bez przerwy, chociaż każdy widział, że tak nie jest. Jak mogło być dobrze, skoro dopiero co zostawiliśmy cię w ziemi?

Odsunęłam te myśli od siebie i skoncentrowałam się na mojej misji, szłam dalej i raptem całkiem niespodziewanie stanęłam przed twoim grobem, tak po prostu. Bum. Oto i był. Spojrzałam w dół na czworoboczny ciemnoszary nagrobek, na którym kazaliśmy wyryć wielkiego beczko-oka. Musiałam się o to wyklócać z tatą, który uważał, że to głupie i niestosowne. Wszystko przez to, że on nie jest takim łowcą przygód i oceanologiem, jakim byłeś ty. Ale cóż robić, tacy właśnie są rodzice, prawda? Na twoim kamieniu jest napisane:

Tim

*Łowca przygód, oceanolog, najlepszy na świecie
pływak, brat i syn.*

Pod spodem tylko data urodzin i data śmierci, nic więcej.

Położyłam drabinkę na ziemi i usiadłam po turecku na łące, w którą wpuszczony był twój grób. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Na filmach ludzie chętnie rozmawiają z nagrobkami, ale na to po prostu nie jestem dostatecznie uduchowiona. Czytałam raz po raz napis na nagrobku, chociaż znam go na pamięć, bo sama go wymyśliłam. Mam nadzieję, że spodobały ci się te słowa, bo tak właśnie uważałam: trzeba po prostu i bez upiększeń powiedzieć,

jak jest. Po jakimś czasie zauważyłam, że nieświadomie wyrwam rękami kępki trawy, więc natychmiast przestałam. „A co z mrówkami?” – zawołałbyś z pewnością, albo: „Zabijasz żywe istoty!”. Poskubałam trochę prawy rękaw mojego T-shirta, wsadziłam palec wskazujący w jedną z dziur na kolanach dżinsów i przełożyłam moje przeciążenie na energię kinetyczną, po prostu nie dałam rady usiedzieć spokojnie.

– Cześć – powiedziałam cicho w pewnej chwili.

Cisza, która mi odpowiedziała, rąbnęła mnie jak pięścią w twarz. Normalnie odparowałbyś natychmiast: „Daj coś zjeść!”, ale to było przecież niemożliwe, bo leżałeś metr dziewięćdziesiąt pod ziemią i powolutku zjadały cię małe zwierzęta. Bo było już po wszystkim. Bo twój głos wypadł z tego świata i zabrał ze sobą wszystkie słowa. Bo to i tak było tylko twoje ciało, ale już nie twoje Ja. Ja – uformowane przez połączenia neuronalne w twoim mózgu i ciągle tak mi bliskie.

Czułam się fatalnie.

Wściekła pomyślałam o moim terapeutcie. Zastanawiałam się, co takiego chciał osiągnąć tą akcją – prócz tego, że poczułam się jeszcze gorzej niż zwykle. Nie mogłam przestać sobie wyobrażać, jak twoje ciało nadgryzają robaki i chrząszcze, jak twoje gałki oczne roztapiają się i wypływają z oczodołów, jak szary musi być teraz twój język, jak twój brzuch pełen gnijących organów nadął się i przykleił do wieka trumny. W mojej głowie jak w kinie leciał koszmarny film grozy, a ja nie potrafiłam go wyłączyć. Równocześnie nieomal wybuchnęłam śmiechem, kiedy przyszło mi na myśl, jak byłbyś tym zachwycony. Moją głowę wypełniała jedna wielka breja.

Wtem dotarł do mnie jakiś głos. Z początku nie byłam pewna, co to, i uznałam, że może wiatr albo gwar

przyniesiony z ulicy, ale jak na odgłosy uliczne znajdowałam się zbyt głęboko w samym środku cmentarza.

– Cholera jasna! – dobiegło mnie czyjeś przekleństwo.

Wstrzymałam oddech. Kurde! Kiedy właściwie ogrodnicy cmentarni przychodzą do roboty? Wyprostowałam się odrobinę i wyrzalam ponad gąszcz grobów, za którymi siedziałam schowana, próbując coś dostrzec. Straszliwie blisko mnie, w odległości ledwie kilku metrów, zauważyłam słabo migoczące światło i jakąś postać, która obracała się w tę i we w tę. Kurczę, czy to był grabarz? Na takiego wyglądał, trzymał w ręce łopatę. Ale czy obecnie grobów nie wykopuje się koparką? Podczołgałam się wolniutko w jego kierunku, kucnęłam za jakimś nagrobkiem i zerknęłam w tamtą stronę. Zobaczyłam przygarbioną postać, która grzebała w ziemi łopatą. Jednak nie wyglądało mi to na profesjonalne ogrodnictwo. Raczej na działanie nieco chaotyczne i z całą pewnością nielegalne. Wycofałam się do twojego grobu i zdecydowałam ruszyć w drogę powrotną. Kiedy podnosiłam drabinkę, ta szcęknęła głośno, odwróciłam się więc jeszcze raz w stronę postaci za mną – postać znieruchomiała.

– Kto tam? – zawołał ochrypły głos.

Nie odezwałam się, tylko spróbowałam zarzucić sobie drabinkę na ramię i zwać co sił w nogach. Ponieważ jednak moje działania były nieco nerwowe, natychmiast potknęłam się o niski nagrobek obok i padłam jak długa z głośnym rumorem. Twoja siostra kolejny raz zabłysnęła jako wzór zręczności i chodząca elegancja, to było magiczne.

– Do jasnej cholery! – zakląłam tym razem ja i złapałam się za prawą goleń (uderzyłam się w nią boleśnie).

Tymczasem migoczące światło zaczęło się do mnie zbliżać i zobaczyłam, że tajemnicza postać to mężczyzna,

światłem zaś okazała się staromodna lampa naftowa, co ty naturalnie uważałyś za całkiem pirackie. W panice rzuciłam się na czworakach do tyłu. Kto wie, może ten typek jest jakimś zwariowanym mordercą, który zakopuje tutaj zwłoki? Lecz kiedy ta osoba w końcu stanęła przede mną, przekonałam się, że przynajmniej nie wygląda na szczególnie niebezpieczną.

Był to starszy mężczyzna, delikatny letni wietrzyk rozwiewał mu cienkie pasma włosów – przypominał naszego wroniego dziadka ze starych fotografii albo pisklę gołębia z rozczochranym puchem na głowie. Mężczyzna nosił ciemne, staromodne spodnie i miał na sobie kraciastą koszulę z krótkimi rękawami, której koloru w żółtawym świetle lampy nie byłam w stanie określić. Nad kołnierzykiem koszuli zobaczyłam przestraszoną twarz, staruszek wpatrywał się we mnie nieufnie i jakoś tak wściekle. Tyle uczuć na tak niewielu centymetrach pomarszczonej skóry! Na myśl o wypełniającej mnie pustce chwyciła mnie zazdrość o takie bogactwo emocji.

– Co też pani robi o tej porze na cmentarzu? – burknął do mnie staruszek.

– Odwiedzałam mojego brata.

– O tej porze? Dlaczego nie idzie pani na grób za dnia, jak każdy normalny człowiek?

Siedziałam teraz na ziemi i w świetle lampy sprawdzałam, czy się gdzieś nie zraniłam, zerkając raz po raz w stronę mężczyzny z łopatą w ręce. Ostrożności nigdy za wiele.

– Halo? To chyba nie ja w środku nocy kopię na cmentarzu, no nie? – palnęłam. – A pan co tu właściwie robi?

– A to już akurat nie pani sprawa – warknął mężczyzna.

– Grzebie pan jakieś zwłoki czy co?

– Odbiło pani? Czy ja wyglądam na kryminalistę?

– No nie wiem, w każdym razie nie wygląda pan również na niekryminalistę, z tą łopatą i lampą, i całą tą kopanią po grobach – odparłam.

Wstałam i strzepnęłam ziemię z ciuchów. Staliśmy teraz oboje i mierzyliśmy się wzrokiem, dwójka cmentarnych włamywaczy, którzy przylapali się nawzajem na gorącym uczynku. Cała sytuacja przypomniała mi jeden z twoich ulubionych dowcipów, ten z serii „Spotkało się w lesie dwóch myśliwych”, i wybuchnęłam absurdalnym śmiechem.

– I czego się pani śmieje? Może z pani jest jednak jakaś wariatka? Albo satanistka czy coś w tym guście i praktykuje tu pani jakieś rytuały? – Staruszek taksował mnie bacznie spod lekko zmrużonych powiek.

– Przecież już mówiłam, że odwiedzam mojego brata. Leży tutaj – powiedziałam, wskazując grób za moimi plecami.

Mężczyzna nie odrywał ode mnie oczu.

– Ale pan nadal mi nie powiedział, co tutaj robi – spróbowałam raz jeszcze.

Zaciekawilo mnie to i chciałam wiedzieć, dlaczego starszy mężczyzna, na oko koło osiemdziesiątki, kopie po nocy na cmentarzu. Siebie samego z pewnością nie zamierzał zakopać, jak na to wydawał się jeszcze ociupinkę zbyt sprawny.

– Zabieram przyjaciółkę.

No dobra, tego już było za wiele. Próbowałam powstrzymać śmiech, co się niestety nie udało, i w rezultacie wydałam z siebie odgłos przypominający przedziurawioną oponę samochodową, z której, bulgocząc i świszcząc, ucieka powietrze.

– Panią to bawi? – spytał mężczyzna.

– No cóż, tak. Zakładam, że pana przyjaciółka jest martwa. Chce pan ukraść zwłoki?

– Bzdura, wyjmuję tylko urnę. Obiecałem jej to. Może w pani pokoleniu jest inaczej, ale w moim dotrzymuje się danego słowa.

– Ehm... już dobrze...

Zamilkliśmy oboje.

– A co potem zrobi pan ze swoją przyjaciółką, kiedy już ją pan wykopie?

– Nie pani interes – burknął tylko staruszek.

– To w końcu... – zaczęłam, ale przerwałam nagle. Usłyszałam coś i sądząc po spojrzeniu starszego pana, on także to usłyszał.

– Czy to były głosy? – wyszeptał zaniepokojony.

– Chyba tak.

Zaczelśmy nasłuchiwać. Wiatr znów przyniósł do nas jakieś dźwięki. To rzeczywiście mogły być głosy ludzi.

– Do diaska, to z pewnością cmentarni ogrodnicy, oni czasem przychodzą tu nawet o trzeciej nad ranem – poinformował mnie starszy pan.

– No to lepiej sobie pójdźmy. Niech pan łapie przyjaciółkę i zmyka do domu – poradziłam mu i znowu zarzuciłam sobie drabinę na ramię.

– Jeszcze nie dotarłem do samego dołu, mam osiemdziesiąt trzy lata, a wtedy człowiek już nie kopie tak sprawnie jak dwudziestolatek.

– Och, faktycznie. No to może innym razem?

– A jak pani sądzi, jak często mogę się włamywać na cmentarz, w moim wieku? – usłyszałam wścieklą odpowiedź.

Znów dobiegł nas gwar.

– No cóż, nic panu na to nie poradzę. Chyba będę się już zbierać w drogę powrotną – skwitowałam.

Mężczyzna odwrócił się, podszedł do swojej łopaty i znowu zaczął ryć w ziemi. Dopiero teraz zauważyłam